

Stanisław
DYGAT



Disneyland

Stanisław Dygat

DISNEYLAND

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67021-75-3

Copyright © Magdalena Dygat-Dudzińska

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

Tekst: Prószyński Media, Warszawa 2010

ROZDZIAŁ I

Stałem oparty o barierę przy bieżni i patrzyłem na zieloną murawę. Księżak siedział obok na ławce. Bawił się zawieszonym na szyi stoperem i też wpatrywał się w zieloną murawę.

Toczyła się między nami milcząca rozgrywka, kto przemówi pierwszy.

Nad stadionem terkotał śmigłowiec, przeleciały gołębie i pomknęły ku siniejącej w gasnącym świetle wiosennego popołudnia sylwetce Kopca Kościuszki. Nagle jednak zawróciły i pofrunęły w kierunku błyszczących wież Wawelu.

Dokoła boiska biegał wolnym truchtem Migdalski. Odwalał swoje okrążenia. Miał na twarzy idiotyczny wyraz skupienia.

Po co ten osioł tak biega? – pomyślałem.

Nie lekceważyłem Migdalskiego. Wiedziałem, że za rok może mnie zrobić. Był pracowity i ambitny. A przede wszystkim piekielnie mu na tym bieganiu zależało. Ale w tej chwili pomyślałbym to samo o każdym, kto biegałby w kółko. Wszystko wydawało mi się głupie, a to najgłupsze.

Niedaleko nas skakała w dal Dorota. Było słychać tupot jej nóg i piskliwe okrzyki. Nie patrzyłem w tamtą stronę. Na ogół lubiłem przyglądać się jej, kiedy skakała. W tej chwili nie obchodziło mnie to nic a nic.

– Migdalski! – krzyknął Księżak.

Migdalski zatrzymał się z pytającym uśmiechem. Księżak zaczął na niego krzyczeć, że za wysoko podnosi nogi. Krzyczał ordynarnie. Migdalski patrzył zdziwiony, bo Księżak na ogół był grzeczny wobec nas.

Migdalski nie podnosił nóg za wysoko, i w ogóle jakie to ma znaczenie? Poza tym Księżak nie mógł tego widzieć, ponieważ nie odrywał wzroku od zielonej murawy. Ja czasem zerkalem na Migdalskiego. Dlatego że działał mi na nerwy. Księżak wyładowywał się na Migdalskim, bo był zły, że ja nie chcę pierwszy się odezwać. Potem zaczął na niego krzyczeć, że się zatrzymał. Przecież musiał to zrobić, żeby dowiedzieć się, czego Księżak od niego chce. Po krótkim wahaniu Migdalski zaczął biec dalej. Zrobiło mi się żal Migdalskiego. Nie przepadałem za nim, ale to przeze mnie nakrzyczał na niego Księżak.

– Oferma sakramencka – mruknął Księżak.

Niby do siebie. W istocie zebrał, abym się odezwał.

Ja milczałem. Byłem coraz bardziej zły na Księżaka. A kiedy zdałem sobie sprawę, jaka to z mojej strony podłość, zrobiło mi się mdło. Ale nie mogłem nic na to poradzić.

Podeszła Dorota. Poprawiała sobie nogawki spodenek. Na pewno nic ją nie piło. Naumyślnie to robiła.

– Magistrze – powiedziała – mam problemy.

Księżak spojrzał na nią surowo.

– Nigdy bym cię o nic takiego nie posądził – powiedział.

Dorota często brała dosłownie to, co się do niej mówiło, i dlatego trudno się z nią było czasem dogadać. Ale miała jedną zaletę: była absolutnie nieobraźliwa. Chłopcy robili zakłady i wymyślali najstraszliwsze zniewagi. Ona przyjmowała wszystko z uśmiechem. Po prostu takie zagadnienie jak obraza nie istniało dla niej. Lubiłem Dorotę. Wypoczywałem w jej towarzystwie.

Popatrzyła na mnie, a potem na Księżaka i spytała:

– O co by mnie magister nie posądził?

Księżak westchnął.

– Jakie masz problemy?

– Ale co ja takiego zrobiłam? O co by mnie magister nie posądził?

– Nic nie zrobiłaś – powiedział Księżak – tak sobie powiedziałem.

– Nieprawda. Magister nigdy nie mówi tak sobie.
Denerwowało mnie, że ciągle powtarzała: magister.
Wszyscy zwracali się do Księżaka w ten sposób. Zwykle nic mnie to nie obchodziło.
Tego dnia nawet to mnie irytowało.
– Zawsze mówię tak sobie – krzyknął. Potęga naiwności Doroty była wszechwładna.
Księżak pozwalał się w nią wciągnąć. Ale zaraz się opanował: – Powiedz wreszcie, jakie masz problemy? – powiedział znużonym głosem.
– Chyba źle odmierzam kroki albo co. Nie mogę trafić na belkę. Ale co takiego...
– Chodź – przerwał jej Księżak.
Wziął ją za rękę. Odeszli w kierunku skoczni.
Zastanawiałem się, co dalej robić. Odejść było niezręcznie. Zostać też.
Migdalski zatrzymał się i krzyknął:
– Chodź, Marek! Ściągnij dres i pobiegaj trochę. Co się tak garujesz?
To było najlepsze wyjście z sytuacji. Ale żeby Migdalski nie wyobrażał sobie za wiele, zostałem w dresie.
Biegłem, wygłupiając się. Mijałem go, potem dawałem się wyprzedzać, i tak w kółko.
On denerwował się i niecierpliwił, bo chciał sobie przebiec spokojnie i miarowo swoje pięć tysięcy. Dlatego właśnie to robiłem. Kiedy wyprzedzałem go po raz któryś, zawołał:
– Ty, cofnij się trochę, bo mi zasłaniasz stadion uszami.
– Henryk – powiedziałem – nie puszczaj się na takie skomplikowane złośliwości, bo to przerasta twój stan posiadania. Dostaniesz zapalenia opon mózgowych.
Nie było to dowcipne, ale na Migdalskiego starczyło. Otworzył usta, nie wiedział, co powiedzieć, więc zamknął je zaraz i przybierając swój wyraz skupienia, pobiegł dalej.
Istotnie miałem trochę odstające uszy. Ale dziewczyny mówiły, że mi z tym do twarzy.

ROZDZIAŁ II

Mój ojciec był strasznym łamagą. To wywarło wpływ na moje życie, bo doszedł on do wniosku, że niedobrze być łamagą, a sprawność fizyczna pozwala uniknąć wielu przykrości. Kazał mi gimnastykować się, uprawiać sporty, uczyć się dżiu-dżitsu. Kiedy miałem siedem lat, chciał mnie nauczyć salto mortale. W czasie tego ćwiczenia upadłem na głowę z wielkim hukiem, przewróciła się serwantka i potłukła sewrska porcelana. Nie była to prawdziwa sewrska porcelana, ale podrabiana, co miało pewne znaczenie w dalszej fazie tego incydentu.

Od takiego upadku na głowę można raz na zawsze porządnie zgłupieć. Ale miałem piekielnie twardą głowę. Kiedy potem boksowałem, nie było ciosu, który mógłby mnie zwalić z nóg. W boksie miałem szanse, by dojść do dobrych wyników, ale pewnego razu w czasie spotkania juniorów Kraków – Gdańsk, kiedy właśnie ja walczyłem, gdański kibic krzyknął:

– Bij kłapoucha!

Wtedy postanowiłem, że nie będę więcej boksował. Nie miałem na temat moich uszu kompleksów. Niektórzy twierdzili nawet, że te uszy decydują o mojej męskiej osobowości. Ale w przeciwieństwie do Doroty bywałem obraźliwy. Czasem obrażałem się nawet nie dlatego, że czułem się dotknięty, ale że podejrzewałem obraźliwe intencje. Przeważnie było to wyimaginowane i ludzie dziwili się, dlaczego chodziłem z obrażoną miną. Nie miałem kompleksów na temat moich uszu. Mówiąc prawdę, przestałem boksować nie z powodu tego okrzyku, ale dlatego że boks mi się znudził. Powiedziałem Szymaniakowi, naszemu trenerowi, że dotknięty głęboko chamstwem publiczności postanawiam pożegnać ring.

Rozmowa na ten temat była zawstydzająco głupia. Szymaniak uderzył w ton patetyczny i bredził o postawie sportowca. Był inteligentnym człowiekiem, ale głupota

mojego oświadczenia wyprowadziła go z równowagi. Szczególnie że powtarzałem w kółko: – A ja obrażać się nie pozwolę. – Wiedziałem, że to idiotyczne, ale nie umiałem się przed tym powstrzymać. Nieraz mówiłem albo robiłem coś idiotycznego i choć zdawałem sobie z tego sprawę, nie mogłem nic na to poradzić. Szymaniak rozzłościł się wreszcie i krzyknął: – To rób, jak chcesz, i daj mi święty spokój. – Powiedziałem: – Dobrze, bardzo dobrze – i zacząłem odchodzić. Wtedy on mruknął: – Kłapouch głupi. – Zatrzymałem się i odwróciłem. Stałem chwilę, a potem powiedziałem: – Właśnie doszedłem do wniosku, że miał pan rację, i chciałem to przyznać, ale skoro i pan mnie obraża, żegnam się naprawdę. – Wiedziałem, że to podłe, a przecież tak powiedziałem. Było to podłe, ponieważ domyśliłem się, że mruknął: „Kłapouch głupi” z żalu, a nie ze złośliwości. Ale ja udałem, że rozumiem to inaczej. Udałem po to, aby na niego przerzucić odpowiedzialność, że wycofuję się z ringu.

Ludzie strasznie kłamią. Oszukują siebie i innych w sprawach wielkich i małych. Każdy jest przeciwnikiem każdego. Nawet bliskie istoty są sobie przeciwnikami. Przyjaźń, tkliwość rodzinna, miłość to tylko szczególne oblicze walki, którą toczą wszyscy przeciw wszystkim. Zastanawiałem się czasem nad życiem. Gdy dochodziłem do takich wniosków, ogarniał mnie niepokój.

Nieporozumienie między ojcem a matką było podobne do incydentu z Szymanikiem. Nie twierdzę, że matka czekała na okazję, abym z powodu ojca upadł na głowę. Ale czekała na okazję do sprzeczki.

Ojciec był zmieszany. Powiedział:

– Po co tyle hałasu? Porcelana była podrabiana.

Chciał zażartować. Myślał, że rozładuje w ten sposób sytuację. Ale matka wykorzystała to na swoją korzyść. Uznała ten żart za złośliwy przytyk do jej matczynych uczuć. Że bardziej troszczy się o podrabianą porcelanę niż o moją głowę. Z wielkim upodobaniem wystąpiła zaraz z rewanżowymi przytykami. Miała ich spory zapas. Krzyczała, a ojciec też usiłował krzyczeć, ale mu nie wychodziło. Huczało mi w głowie. Bardziej od tych krzyków niż od upadku. Chciałem coś powiedzieć, ale nic nie powiedziałem. Ani on, ani ona nie zwracali na mnie uwagi.

Było to za okupacji. Kłótnia ciągnęła się długo, zapadł zmrok. Ojciec zapalił światło, ale zapomniał zapuścić rolety i przyszedł niemiecki policjant, który też zaczął krzyczeć. Groził, że nas rozstrzela, dostał szklankę wódki, siekany kotlecik, który miał być dla mnie na kolację, i coś w łapę. Wychodząc, zachowywał się uniżenie. Przypominał dozorcę Kwiatkowskiego w dzień Nowego Roku.

Zachowanie niemieckiego policjanta zmartwiło mnie. Wydało mi się równie podłe jak zachowanie matki i równie żałosne jak zachowanie ojca.

W każdym razie udało mu się to, co nie udało się ojcu: rozładował sytuację. Po jego wyjściu rodzice długo milczeli. Potem zaczęli wyrzekać na okupację. Na koniec poszli spać i nikt nawet nie przyłożył mi kompresu na głowę. Zresztą głowa specjalnie mnie nie bolała.

Pojednanie było pozorne. Na drugi dzień wybuchła jeszcze większa awantura. Nie o moją głowę, ale o komentarze wokół sewrskiej porcelany. Niedługo potem matka wyprowadziła się z domu. Od dawna żyła z pewnym lekarzem. Wszyscy o tym wiedzieli prócz ojca.

Była bardzo piękna. Nie rozumiem, jak mogło dojść do tego, że wyszła za takiego łamagę jak ojciec.

Kiedy rozchodzi się dwoje ludzi, a mają dziecko, towarzyszy temu zazwyczaj dramatyczna rozgrywka. Dramat taki nie rozegrał się w naszej rodzinie. Matka wyprowadziła się z domu, a ja zostałem. Czasem wpadała po coś. Kłócili się wtedy z ojcem, ale już inaczej. Mniej nerwowo i bez krzyków. Gdy upadłem i istniały podstawy do niepokoju o moją głowę, kłótnia dotyczyła sewrskiej porcelany. Teraz mówiło się bardzo dużo o moim upadku na

głowę. Jasna sprawa, że prowadziło to do tego, by na przyczynę konfliktu i rozstania promować chwalebną troskę o mnie, a nie tamte sprawy, wstydlive dla obu stron.

Każdej niedzieli przychodziłem do matki na obiad. Ten lekarz okazał się miłym człowiekiem. Dosyć się z nim zaprzyjaźniłem, a matka usiłowała robić między nami intrygi. Dziwne, ale on też był łamagą.

Kiedy zacząłem boksować, chodził na moje walki i spotykał się na widowni z ojcem. Udawali, że się nie poznają, dodawali mi otuchy okrzykami i wymieniali wrażenia. Jeżeli spotkali się gdziekolwiek indziej, nie wymieniali nawet ukłonów.

Matka nie lubiła, kiedy do niej przychodziłem. Te niedzielne obiady były przymusem dla nas obojga. Którejś niedzieli byliśmy tylko we dwoje. Lekarz musiał pojechać po coś do Bochni. Po obiedzie stanąłem przy oknie i patrzyłem na zabrudzony lepkiem zmrokiem zimowy pejzaż krakowskiej ulicy. Nagle matka stanęła obok mnie. Staliśmy tak, milcząc, a potem ona ni stąd, ni zowąd zaczęła płakać. Pomyślałem sobie, że chyba nic gorszego i głupszego nie mogło mi się zdarzyć, ale myliłem się, bo za chwilę objęła mnie i przytuliła się do mnie. Znieruchomiałem, zesztyniałem i nienawidziłem jej. Wiedziałem, że ten odruch nie został wywołany ani tklivością, ani wyrzutami sumienia. Bogu zresztą dzięki. Miała zapewne nieporozumienia z tym swoim nowym łamagą. Może podejrzewała, że nie pojechał do Bochni, tylko zdradza ją. Była żywiołową zazdrośnicą, jak każdy tyran i egocentryk. Nawet ojcu robiła sceny zazdrości, chociaż nic jej nie obchodziło. Wtedy przy oknie odegrałem dla niej rolę przypadkową. Przytuliłaby się do każdego, kto stałby przy niej.

Ludzie, kiedy coś im solidnie dopieczy, starają się dla pociechy wesprzeć cudzym ciałem. Przynosi im to psychiczną ulgę. Ja nie. W takim wypadku nie tylko stronię od cudzych ciał, ale nawet własnym się krępuję. Najchętniej idę do łazienki, kąpię się, myję zęby, golę się i czeszę. Staram odwrócić uwagę ciała od jego funkcji psychicznych.

Do dziś przechodzą mnie ciarki, gdy przypomnę sobie tamtą scenę. Modliłem się, żeby się to jak najszybciej skończyło. Matka puściła mnie nagle. Przestała płakać, a na jej twarzy pojawił się zły grymas. Dała mi pieniądze i powiedziała, żebym poszedł do kina.

W kinie wpadłem w łapankę. Puścili mnie po godzinie, ale dostałem z całej siły w mordę od niemieckiego żandarma, który bardzo się zdziwił, że się nie przewróciłem, i dał mi za to tabliczkę czekolady. Była to czekolada angielska ze zrzutów z napisem: „Polacy, czuwamy”. Zupełnie wyjątkowo smaczna.

Matka interesowała się mną tylko z punktu widzenia rytualnej konieczności objawiania na zewnątrz matczynych uczuć. Ojciec nawet nie usiłował bawić się w jakieś rytuały, za to coraz energiczniej zajmował się moim wychowaniem fizycznym. Ale ja sam obchodziłem go tyle co matkę, gdy tuliła się wtedy do mnie przy oknie. Wykorzystywał moje ciało dla porachunków ze sobą.

Był adwokatem. Nie rozumiałem, dlaczego ludzie powierzali mu swoje sprawy. Nigdy nie słyszałem, żeby jakąś sprawę wygrał. Skarżył się na prokuratora, na knowania, na to, że wszyscy starają się podstawić mu nogę. Mimo wszystko ludzie powierzali mu swoje sprawy, bo miał nazwisko. Ojciec mojego ojca był znakomitym adwokatem. Niejednego łotra wyciągnął z kłopotów. Skończył marnie. Został przypadkowo uderzony łomem w głowę przez dżentelmena włamywacza, którego rok przedtem uchronił od ciężkich robót. Ten dżentelmen włamywacz był człowiekiem z towarzystwa i prowadził podwójne życie. Dzięki ojcu mojego ojca nie mogli mu niczego dowieść. Bardzo się zmartwił, gdy się okazało, że człowiek, którego zabił łomem po pijanemu, na Zaciszu, w środku nocy, to był mecenas Arens. Potem w sądzie powtarzał w kółko, że nigdy sobie tego nie daruje.

Ojciec odziedziczył po swoim ojcu kancelarię, klientów i przede wszystkim nazwisko. Nienawidzę słowa dziadek. Jest dziadowate i infantylne. Co do mnie, nigdy nie przejmowałem się tym, że ktoś ma nazwisko. Brałem pod uwagę tylko, co człowiek robi i ile

jest wart. Ze wszystkich postaci starożytności najbardziej niesympatyczny był dla mnie Herostrates. Nie umiałem myśleć o nim bez irytacji. Po prostu uważałem go za idiotę.

W życiu często osiągają powodzenie ci, którzy sztucznymi zabiegami potrafili wyrobić sobie nazwisko. Wygrywają głupotę i lenistwo innych, fakt, że nie chce im się szukać szczerych wartości, ale łapią, co rzuca się w oczy i samo lezie w ręce. W sporcie takie rzeczy są niemożliwe. O ile mogłem zorientować się z rozmów w literacko-artystycznej Piwnicy Pod Baranami, gdzie chodziłem tylko wtedy, gdy zmuszała mnie do tego Agnieszka, w teatrze, w filmie i w ogóle w sztuce sprawa z nazwiskami przedstawia się inaczej. Aktorka gra rolę po roli i rolę po roli kładzie, jak oni to nazywają. Ale dysponuje pewnym gatunkiem sympatycznej pulchności, która działa mobilizująco na reżyserów. Dlatego ją obsadzają. Z tych samych powodów pełno wszędzie jej fotografii, wywiadów i tym podobnych rzeczy. Ma nazwisko. To decyduje, że ją obsadzają nawet reżyserzy, na których jej pulchność nie działa. Z bezmyślności i lenistwa. Gdyby była lekkoatletką i swoją pulchnością wywarła piorunujące wrażenie na panu Averym Brundage'u, nie pobiłaby przez to rekordu świata. Nie zdobyłaby nawet mistrzostwa okręgu. Nie oburzałem się na środowiska artystyczne, stwierdzałem fakt. A że te środowiska działały mi na nerwy, to inna sprawa. W ogóle sztuką interesowałem się mało. O tyle, o ile zmuszała mnie do tego Agnieszka.

Sport nudził mnie. Nie byłem entuzjastą sportu. Wybitni fachowcy rzadko są entuzjastami swojego zawodu. Zaobserwowałem to. Nie wiem, dlaczego tak jest. Może przez wspomnienie męki, którą przejść musi każdy, kto chce osiągnąć wybitne rezultaty. Może przez wstydlivość. Może przez jedno i drugie. Ktoś, kto entuzjazmuje się swoim zawodem, wydawał mi się zawsze trochę podejrzanym.

Sport był moim fachem. Czymś więcej nawet. Miałem prawo uważać się za wybitnego fachowca. Upoważniał mnie do tego zdobyty tytuł wicemistrza Europy. Byłbym pewnie nawet mistrzem, gdybym wieczoru poprzedzającego bieg nie siedział do późna z fordanserkami w nocnej knajpie, przy bardzo eleganckiej ulicy miasta, w którym odbywały się mistrzostwa. Nie wiadomo, po co tam siedziałem. Te fordanserki były głupie, pretensjonalne i nie bawiły mnie ani trochę. Mniejsza zresztą o te tytuły, nagrody i inne głupstwa. Z tego punktu widzenia sport mnie nudził i nie byłem jego entuzjastą. Ale zastąpił mi dom, rodzinę, dzieciństwo. To ojciec zrobił ze mnie sportowca. Nie czułem za to dla niego wdzięczności. Przeciwnie. Ja nie miałem najmniejszej ochoty zostać sportowcem. Nieraz próbowałem zerwać ze sportem. Nigdy mi się to nie udało. Był zbyt silnie związany z moim życiem. Zapadły decyzje bez mojego udziału i bez mojej woli. Wiem, że stało się coś, co do mnie nie pasowało i nie miało ze mną związku. Nie umiałbym tego nikomu wytłumaczyć. Zbyt to było skomplikowane.

Usiłowałem raz mówić o tym z Agnieszka. Powiedziała:

– Starasz się komplikować najprostsze sprawy. Brak ci prostoty. – Nie zrozumiała, o co mi chodzi, i dlatego wszystko zwała na mnie. Brak mi prostoty! Kto to mówił? Chwilami nienawidziłem Agnieszki.

Nie. Nie było powodów, abym czuł wdzięczność dla ojca. Byłem dla niego czymś w rodzaju konia wyścigowego. Ale gwizdałem sobie na to. Gwizdałem sobie na to, jaki miał do mnie stosunek. Ale na to, po jakiej drodze potoczył się mój los, gwizdać nie mogłem. Po jakiej powinien się być potoczyć? Gdybym mógł być wiedzieć! Dręczyły mnie tęsknoty, pragnienia i namiętności, których nie umiałem określić. Czasem marzyłem, by dokonać czegoś wielkiego i heroicznego. I na złość sobie chciałem, aby przy tym zostało to nieujawnione przed światem i przed ludźmi. Przeciwnie niż zrobił ten idiota Herostrates.

Sport, do którego zostałem przymuszony, zastąpił mi wszystko, czego ten przymus mnie pozbawił. Jakby skazany na ciężkie roboty odnalazł w nich zadośćuczynienie za utraconą wolność.

Nie. Nie było powodów, abym czuł dla ojca wdzięczność, że przez sport zostałem jakoś ulokowany w życiu. Jemu zafundowałem przy okazji nazwisko. Dawniej pytano mnie, czy jestem synem tego znanego adwokata. Potem pytano jego, czy jest ojcem tego znanego lekkoatlety. Niech mu! To był jego ostatni, a może jedyny powód do zadowolenia.

Kiedy miałem dwanaście lat, salto mortale było dla mnie czymś równie prostym jak spacer po Plantach. Ojciec rozpił się. Nawet nie wiedział, do której szkoły chodziłem. Nie wiedział, czy w ogóle chodziłem do szkoły. Kiedy pływałem setkę backcrawlem, mierzył mi osobiście czas. Raz był tak pijany, że wpadł razem ze stoperem do wody. Wstydził się potem przychodzić na pływalnię, co sprawiło mi taką ulgę, że zaczynałem nawet lubić pływanie. Ale po pewnym czasie oświadczył, że jest to głupi sport i że mam uczyć się boksu. Obraził się na pływanie za to, że wpadł do wody. Boks mnie nie interesował. Właściwie nic mnie specjalnie nie interesowało. Byłem z natury marzycielem abstrakcjonistą, kimś, kto powinien urodzić się synem milionera i podróżować po świecie jachtem, podziwiając zachody słońca w różnych stronach świata. Ponieważ jednak mój ojciec nie był milionerem, lepiej się stało, że był łamagą i przez to uczynił ze mnie sportowca, co pozwoliło mi jakoś usadowić się w życiu. Tak więc sport mnie nie interesował ani nie pociągał, a jedyna rzecz, która mnie naprawdę interesowała, to był kopiec Kościuszki. Może nie tyle kopiec Kościuszki sam w sobie, ile pytanie, co znajduje się za Kopcem. Gdy zapytywałem o to, dawano mi niecierpliwe odpowiedzi, wymieniając nazwy geograficzne, jak Bielany, Skawina, Tyniec, Lanckorona itd., ale mnie nie chodziło o to, a o co – nie umiałem dokładnie wyjaśnić, więc nazywano mnie głupcem. Lubiłem patrzeć na kopiec Kościuszki, szczególnie o zachodzie słońca, lubiłem wyobrażać sobie światy, które kryją się za nim w blasku. Światy odmienne od świata, w którym żyłem, pełne nieznanych kształtów i kolorów i mające jeszcze to do siebie, że wszystko w nich musiałyby wychodzić na moją korzyść. Gdybym nie został sportowcem, na pewno zgłupiałbym doszczętnie.

Do szkoły chodziłem tylko dzięki lekarzowi, temu łamadze od matki. Zainteresował się, co robię poza pływaniem i wykonywaniem sztuczek w rodzaju salto mortale. Kiedy stwierdził, że nic, zapisał mnie do szkoły. Matka uznała, że zrobił to, by ją upokorzyć. Wybuchła wielka awantura. Agnieszka zachowywała się czasem podobnie jak matka wtedy. Ja z Szymaniakiem też podobnie postąpiłem. Lekarz dowiódł, że ludzie tchórzliwi zawsze w końcu przegrywają. Uważał, że trzeba załatwić mi szkołę, ale bał się powiedzieć o tym matce. Zdawał sobie sprawę, że matka uzna to za prowokację. Przypuszczał w swojej naiwności, że gdy postawi ją wobec faktu dokonanego, nie będzie mogła zrobić awantury. Był nieprawdopodobnym łamagą. Wychodził szybko z pokoju, gdy matka zapytywała mnie potem, co słychać w szkole. Odpowiadałem byle co. Nie chodziłem do szkoły. Wyrzucili mnie. Szkoła wzywała parokrotnie ojca, ale on nigdy tam nie poszedł. Pytał mnie, czego od niego chcą. Odpowiadałem, że to pewnie w sprawie wycieczki na jeziora mazurskie. Złościł się, że z powodu takiego głupstwa chcą mu zabierać czas, i to uspokajało jego sumienie. Nigdy nie skończyłbym szkoły, gdyby nie Szymaniak. Dowiedział się o wszystkim i poprosił kuratora, aby przyjęto mnie z powrotem. Ten kurator był przed wojną sędzią bokserskim. Przed treningiem Szymaniak sprawdzał, czy odrobiłem lekcje. Jeżeli nie, odsyłał mnie do domu. Był to jedyny człowiek, który naprawdę mną się zajął. Wszystko mu zawdzięczałem. Ładnie mu się odplaciłem, nie ma co. Był mądry i wyrozumiały, umiał mówić do chłopców językiem, który rozumieli. Raz tylko się załamał. Wtedy gdy oświadczyłem, że odchodzę z klubu. Moja głupota wyprowadziła go z równowagi. Szybko zresztą pogodziliśmy się i opiekował się mną w dalszym ciągu.

Do boksu nie wróciłem. Ale to on namówił mnie na lekkoatletykę. Powiedział, że mam sylwetkę rasowego „milera”. Zauważył to na footingach. Nie chciało mi się biegać. Jednak nie mogłem się od biegania wykręcić. Kiedy zacząłem osiągać sukcesy, zapaliłem się trochę do tego. Ale entuzjastą sportu nie byłem i nigdy się nim nie stałem.

Szymaniak nie przestał interesować się moją nauką. Po maturze poradził mi, żebym poszedł na architekturę. Powiedział: – Masz zdolności do rysunków, ale uważaj, żebyś się nie zmarnował. Jeszcze zostaniesz malarzem czy czymś takim. Zacznieś malować twarze bez nosów albo brzuchy z oczami, i co? Rozpijesz się i w ogóle przestaniesz być mężczyzną. Jeżeli ma się jakieś zdolności, trzeba je wykorzystać przede wszystkim dla celów praktycznych i pożytecznych. Pójdiesz na architekturę. – Poszedłem, choć nie interesowałem się architekturą. Ze wszystkim tak było. Ulegałem bezwolnie temu, do czego byłem przymuszany. Poddawałem się terrorowi okoliczności. Pozwalałem unosić się biegowi wydarzeń. Nie byłem pozbawiony woli i charakteru. Ale moja wola i mój charakter działały sprawnie wewnątrz narzuconego mi i działającego konsekwentnie systemu zdarzeń. Traciły siłę i wartość, gdy chciałem się z tego systemu wyrwać.

Gdyby mnie ktoś zapytał, czy wierzę w przeznaczenie, odpowiedziałbym, że coś w tym rodzaju może i istnieje. Nie jest to jednak siła nadprzyrodzona, ale siła konsekwentnego systemu zdarzeń. Ta siła nabiera rozmachu, kiedy nie mamy jeszcze rozsądku, aby ją ocenić, ani możliwości, aby się jej przeciwstawić. Czy można się wyrwać przeznaczeniu? Trzeba by na to przeciwstawić mu własną konsekwencję, ustalić własną prawdę i odeprzeć każde natarcie prawd cudzych i rutynowanych.

Szymaniak miał do mnie stosunek tak serdeczny, że zastanawiałem się czasem, czy nie jest pedałem. Aż do dnia, kiedy palnął sobie w łeb z powodu Loli „Fiat 1100”, okropnej zdziury, którą każdy mógł zabrać sobie z „Feniksa” za byle co. Wykradł milicjantowi rewolwer w czasie meczu z Gwardią. Ten milicjant siedział za to. Szymaniak był człowiekiem samotnym, pełnym nierozwiązanych kompleksów, tęsknot, ku którym nie umiał się przybliżyć. Ojciec, łamaga i intelektualista, zajął się moim wychowaniem fizycznym. On, prostak i osiłek, opiekował się moim życiem duchowym.

Nie był pedałem, ale miał urazy w stosunku do kobiet. Ta zdziura była pierwszą jego kobietą w życiu. Miał wtedy czterdzieści pięć lat. Gdy nieświadomość zderzy się z rozbudzoną nagle namiętnością, wynikają z tego okropne rzeczy.

Samobójstwo Szymaniaka nie wywarło na mnie w pierwszej chwili takiego wrażenia, jak powinno. Dopiero potem zaczęło mnie nawiedzać uporczywe wspomnienie o nim. Ale nie jego śmierć dręczyła mnie najbardziej. Był pierwszym człowiekiem, któremu zrobiłem świństwo. Cóż, że mi je wybaczył? Obserwowałem zdradziecką walkę, jaką prowadzili wszyscy przeciw wszystkim, podglądałem fałsz ludzki. Ale w momencie gdy sam popełniałem świństwo, nie umiałem uświadomić sobie, że byłem taki sam jak inni. Często zdawałem sobie z tego sprawę i nie umiałem się cofać. Wbrew sobie zmierzałem ślepo do tego, co przynosiło mi korzyść albo satysfakcję. Jakżeż podziwiałem księcia Niechludowa ze *Zmartwychwstania* Tołstoja. Zastanawiałem się, czy potrafiłbym kiedykolwiek zdobyć się na to, na co on się zdobył. Wydawało mi się, że jeżeli coś mogło jeszcze uratować moje nieudane życie, to chyba tylko to, by nie być do końca pełnym bydlakiem. O tych rzeczach nie rozmawiałem z Agnieszką. Ale im bardziej komplikowało się wszystko między nami, tym częściej wracałem myślą do pierwszego świństwa, jakie popełniłem w życiu.

Wobec człowieka, który był dla mnie czymś więcej niż ojciec. A który palnął sobie w łeb, bo mu się w tym łbie poplątały tęsknoty z ideałami.

ROZDZIAŁ III

Ja zakochałem się pierwszy raz, kiedy miałem siedemnaście lat. Potem kochałem się jeszcze parę razy. Nie wszystkie te miłości były na tyle atrakcyjne, by warto je wspominać. Ale każda zostawiała takie samo uczucie pustki i niepokoju. Że oczekiwanie nigdy się nie

spełnia i że pragnieniami kierują, złudzenia. Wstyd, że własne i cudze słowa tracą nagle wartość.

Wyobrażamy sobie, że istnieje ktoś, kto jest zdolny zaspokoić nasze tęsknoty. Ktoś, kogo wcześniej czy później spotkamy. Wyobrażamy sobie wiele rzeczy, które nigdy się nie spełniają.

Istnienie miłości odkryłem, mając siedemnaście lat. Ludzi starszych wzrusza miłość w tym wieku, ale nikt jej serio nie traktuje. Mają oni krótką pamięć. Miłość jest jedna. W siedemnastym roku życia czy w czterdziestym siódmym doprowadza ludzi do takiego samego stanu ogłupienia. Mają krótką pamięć. Kiedy miłość się skończy, człowiek nie może się nadziwić, że był tak niepoważny. Wyśmiewa się z zakochanych bez względu na ich wiek. Ma krótką pamięć. Własnym złudzeniom ulega łatwo, ale cudzym nie dowierza.

W żeńskiej szkole, która sąsiadowała z naszą, najładniejszą dziewczyną była Alina Wagner. Nie znałem jej osobiście, ale działała mi na nerwy. Nosila beret na bakier. Ten beret najbardziej mnie irytował. Ona też mnie nienawidziła. Spotykając mnie, robiła wyniosłą minę. Ponieważ nie reagowałem, pozwalała sobie na coraz nowe prowokacje. Raz pokazała mi język. Zrobiła to w sposób wyrafinowany. Zaraz odwróciła się do koleżanki, że niby to jej pokazuje język. Innego dnia, widząc mnie z daleka, dała koleżance do potrzymania teczkę. Gdy mijaliśmy się, złapała się za uszy i zaczęła się za nie ciągnąć. Było to tak samo dwuznaczne jak pokazanie języka.

W przeddzień Święta Kobiet nadszedł list adresowany do naszej klasy. Tak się złożyło, że ja pierwszy dostałem go do rąk. Było to zaproszenie od koleżanek z sąsiedniej szkoły:

„Szanowni Koledzy!

Z okazji Święta Kobiet urządzamy potańcówkę. Prosimy o liczne przybycie.

W imieniu X klasy szkoły nr 135

Alina Wagner

PS

Niniejsze zaproszenie nie zobowiązuje do niczego kol. Marka Arensa. Rozumiemy, że może się obawiać, abyśmy w tańcu nie podeптаły mu uszu.

A.W.”

Przeczytałem list kolegom, omijając postscriptum, po czym podarłem go i wyrzuciłem.

Na drugi dzień po lekcjach stanąłem na ulicy niedaleko 135 szkoły. W kilkanaście minut potem Alina wyszła z bramy. Szła w moim kierunku. Była zamyślona. Spostrzegła mnie dopiero, kiedy dzieliło nas parę kroków. Zatrzymała się, a ja stałem nieruchomo i patrzyłem na nią. Po chwili zaczęła iść szybko dalej. Potknęła się, jeszcze przyspieszyła kroku. Przeczekałem chwilę. Potem podbiegłem do niej i kopnąłem ją w siedzenie. Odwróciła się. Czegoś takiego nie oczekiwała. Patrzyła przerażona. Zaczęła pociągać nosem. Pobieгла parę kroków i znowu się odwróciła. Zaczęła krzyczeć:

– Ty chamie jeden! Ty łobuzie, ty. Zobaczysz! Moi koledzy cię zbiją, że popamiętasz, ty!

Przy tym „ty” rozplakała się. Dalej mówiła, płacząc, co było bardzo śmieszne. Stała chwilę, szlochając, potem puściła się pędem przed siebie. Uciekała, myśląc pewnie, że znowu ją kopnę albo uderzę. Ale ja moją zemstę uważałem już za spełnioną. Otrzymałem satysfakcję i nie pragnąłem niczego więcej.

Nie rozumiem więc, dlaczego zacząłem biec za nią. Nie goniłem jej. Kiedy za bardzo się do niej zbliżałem, zwalniałem kroku. Nie wiedziałbym, co zrobić, gdybym ją dogonił. Przechodnie oglądali się za nią. Jakiś mężczyzna chciał ją zatrzymać. Pytał pewnie, czy nie potrzebuje pomocy. Wyrwała mu się i pobieгла dalej.

Czasem oglądała się. Widząc, że biegnę, wybuchała głośniejszym płaczem. Starła się przyspieszyć kroku, ale przychodziło jej to z trudem. Musiała być już porządnie zmęczona. Dobiegła do alei Mickiewicza, przebiegła przez jezdnię, nie zważając na samochody, i zniknęła w alejce parku Krakowskiego. Przebiegłem za nią jezdnię i zacząłem się rozglądać. Przypomniał mi się film o mordercy seksualnym kobiet. Ten morderca seksualny kobiet gonił jakąś kobietę i tak samo się rozglądał, gdy ją zgubił z oczu. Miał przerażający wyraz twarzy. Bałem się, że jestem do niego podobny. Wszystko wydało mi się obrzydliwe. Kopniak, gonitwa, ja sam.

Alina siedziała niedaleko na ławce. Wyciągnęła nogi na ścieżkę, twarz ukryła w ramionach skrzyżowanych na oparciu ławki. Drżały jej plecy. Podszedłem do niej. Trzeszczał żwir. Nie poruszyła się. Stałem nad nią i zacząłem głaskać ją po głowie. Nie miała na głowie beretu. Trzymała go w zaciśniętej dłoni. Plecy zadrgały jej gwałtownie i powiedziała, nie podnosząc się:

– Ty podły brutalu. Ty ludożerco. Żebyś wiedział, jak ja cię nienawidzę.

Usiadłem na ławce, a ona odwróciła się do mnie i złapała mnie za kłapy. Potem położyła głowę na mojej piersi i zakryła ją swoją marynarką.

Poczułem, że nie jestem już podobny do mordercy seksualnego kobiet.

Miłość była czymś nowym w moim życiu. Dotąd zajmowały mnie tylko boks i nauka, ponieważ musiałem być samodzielny. Teraz znalazłem się w sytuacji człowieka, który nie mając dotąd nic wspólnego z pieniędzmi, zostaje mianowany dyrektorem banku. W naszym kraju zdarzają się takie rzeczy. Toteż kończą się równie smutno, jak skończyła się moja miłość:

Nie minęło wiele czasu i Alina zaczęła chodzić z innym chłopcem. Nazywał się Artur Wdowiński, był synem dziennikarza i uważał, że to nakłada na niego obowiązek manifestowania oglądy kulturalnej.

Spotkałem ich pewnego dnia, przypadkowo niedaleko tej samej ławki w parku Krakowskim. Szli, trzymając się za ręce. Pierwsza spostrzegła mnie Alina. Puściła rękę Artura i trąciła go w ramię. Zwolnili kroku. Zatrzymałem się, zagradzając im drogę. Nie wiem, czemu to zrobiłem. Miałem zamiar minąć ich wyniośle, nie przewidziałem złości, która nagle mnie ogarnęła. Alina patrzyła na mnie tak, jak patrzyła wtedy, kiedy ją kopnąłem. Drżały jej usta. Jemu drżały ręce. Postanowiłem dać mu blachę w czoło. Tylko raz i z poczuciem wyższości. Ale zobaczyłem w jego oczach oprócz strachu decyzję, że będzie się ze mną bił. Byłem wtedy mistrzem Polski juniorów w wadze średniej. Jego desperacja wzbudziła mój szacunek. Splunąłem mu pod nogi i odszedłem. Usłyszałem płaczliwy głos Aliny:

– To jest straszny cham. Chodź, Artur. Nawet nie wiesz, co to za cham.

Zastanawiałem się, czy nie wrócić i nie strącić jej z głowy beretu. Ale już mi się wszystkiego odechciało.

Z powodu beretu został mi kompleks. Już zawsze potem, ile razy widziałem pensjonarkę w berecie na bakier, korciło mnie, by strącić go z jej głowy.

Artur był chłopcem przedsiębiorczym. Dokonał z Aliną tego, co wobec majestatu pierwszej miłości mnie wydawało się świętokradztwem. A gdy tego dokonał, rzucił ją.

Spotykałem go potem często. Był reżyserem w teatrze. Robił karierę. Mówili o nim i pisali. Dawał mi kartki do teatru. Teatr w zasadzie mnie nudził. Ale tymi kartkami załatwiałem różne porachunki z Agnieszką. Lubiłem Artura. Był inteligentny i złośliwy.

Raz zgadaliśmy się na tamte stare tematy.

– Słuchaj – powiedziałem – czy biłbyś się ze mną, gdybym cię wtedy uderzył?

Zabrzmiało to tak naiwnie, że zaczęliśmy się śmiać.

– Zwariowałeś – powiedział. – Miałem potwornego pietra. Uciekłbym, gdybyś tylko podniósł rękę.

Potem dodał:

– Ona kochała ciebie, a nie mnie. Kiedy poszedłeś, zaczęła płakać. Mieliśmy iść do kina, ale ona pobiegła do domu.

Znowu zabrzmiało to naiwnie i znowu zaczęliśmy się śmiać.

Mówiono, że kiedy Artur rzucił Alinę, zaczęła pić. Chodziła do „Feniksa” i łajdaczyła się, z kim popadło. Nie czułem satysfakcji. Było mi przykro. Uniknęłaby tego, gdyby nie rzuciła mnie dla Artura.

Prawdę mówiąc, to nie tak było, ale zupełnie inaczej. Alina mnie nie rzuciła, ja ją rzuciłem i przeze mnie zeszła na psy.

Człowiek rości sobie pretensje, aby zdarzenia sprzyjały jego intencjom. Lekceważy prawdę, którą propaguje rzeczywistość. Jest głuchy na jej oczywiste argumenty, jeżeli nie głosi ona tego, co odpowiada jego interesom i nie pochlebia jego satysfakcji. Zadaje sobie wiele trudu i wysiłku, ażeby nadawać faktom fałszywe pozory. Pomaga mu w tym gorliwie krótka pamięć, jego najwierniejszy przyjaciel.

Fakty w historii mojej pierwszej miłości są ściśle i prawdziwe. Ale naprawdę to wszystko było inaczej.

Miłość zaskoczyła mnie jako nowe zjawisko w życiu. Nie potrafiłem sobie z nią radzić. Nie umiałem jej ulokować wśród innych spraw. Z zapalem debutanta ofiarowywałem miłości wszystko. Nic poza nią mnie nie obchodziło. Byłem niecierpliwy w manifestowaniu ofiarności i wyznawaniu skrytych myśli. Tego nie wolno robić. Tu bowiem rodzi się gorycz i zniechęcenie.

Dwie istoty, które zbliżyła miłość, nie mogą stać się przez to identyczne. Identyczność dwu istnień jest szalonym wymysłem kobiet zajmujących się literaturą. Ofiarowując wszystko i wszystko wyznając, rości się pretensje do tożsamości, a przekreśla prawo do odmiennego reagowania na te same stany uczuciowe.

Kochałem Alinę, a ona nie dawała mi żadnych powodów, bym sądził, że mnie nie kocha. Ale z każdym dniem rósł we mnie niepokój. Uważałem, że Alina nie odwdzięcza mi się tym, na co moja miłość zasługuje. Zachowywała swoją odrębność, a ja traciłem moją, i to skłaniało mnie do buntu. Czułem się wyzyskiwany. Coraz mniej ufałem jej uczuciom, moje zaś zaczęły zamieniać się w niechęć. Uwierzyłem w jej miłość dopiero wtedy, gdy moja osłabła. Wtedy ogarnęło mnie przerażenie. Nie, że moja miłość się kończy, ale że jej jeszcze trwa. Pretensja o niedomiar zmieniła się w pretensję o nadmiar. Tęskniłem za niezależnością. Byłem umęczony. Pragnąłem być znowu sobą. Już tylko tego pragnąłem. Ja odpowiadam moralnie za historię z Arturem. Chciałem się Aliny pozbyć. Gdy mi się to udało, zacząłem oszukiwać samego siebie. Uznałem się za porzuconego i ciężko skrzywdzonego. A potem, porządkując w pamięci zdarzenia, wybierałem tylko te, które dogadzały mojemu fałszywemu mniemaniu. Mało nie dałem w gębę Arturowi, którego bez jego wiedzy wybrałem na sprzymierzeńca.

Kiedy Alina zeszła rzekomo na psy, zdążyłem całkowicie uwierzyć w moje kłamstwa i mogłem z czystym sumieniem ubolewać nad jej upadkiem.

Jednak Alina nie zeszła na psy. Spotkałem ją po wielu latach. Wyglądała ślicznie. Ładniej niż wtedy. Poszliśmy na kawę do „Warszawianek”.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała – rzadko spotykam dawnych przyjaciół. Zaszłam się w Nowej Hucie. Nic się nie zmieniło.

Miała swój zły okres, ale więcej nagadali ludzie. Skończyła chemię, w tej chwili nigdzie nie pracuje. Wyszła za mąż za inżyniera z Nowej Huty, ma dwoje dzieci.

– Chciałabym, żebyś poznał Karola. Ma fioła na punkcie sportu. Uwielbia cię. Na meczu z Anglią, kiedy tak cudownie zrobiłeś tych Anglików, szalał. Aż się wstydziłam. Chociaż wszyscy szaleli. Ja też szalałam. Ale nikt nie szalał tak jak Karol.

Musi być niezły łamaga – pomyślałem.

– Kiedy powiedziałam, że jesteś moim starym przyjacielem, błagał, żeby cię do nas przyprowadzić. Przyjdź. Zobaczysz, jaki on fajny.

– Pewnie nie taki ponury cham i brutal jak ja – powiedziałem.

Alina uśmiechnęła się. Nie powinienem był tego powiedzieć. Popeliłem nietakt czasowo-przestrzenny. Poklepała mnie po policzku i zaśmiała się głośno. Posmutniałem. Uczucia, które niegdyś były jedyną ważną rzeczą, dziś miały wartość już tylko informacyjną.

Mówiłem kiedyś Alinie, że jest moją pierwszą i ostatnią miłością. Echa tych słów błąkały się po przyciemnionej kawiarni. Były puste, głuche, nieuchwytnie.

Niejednej kobiecie mówiłem, że jest moją pierwszą i ostatnią miłością. Zawsze mówiłem prawdę. Kiedy przeżywa się jakąś miłość, eliminuje ona miłości przeszłe i przyszłe.

To spotkanie po latach nie wstrząsnęło mną. Uświadomiło mi ono tylko, że istnieje smak pierwszej miłości, którego potem nie można już odnaleźć.

Kiedyś siostra mojej matki przyniosła mi cukierki. Miały najcudowniejszy smak, jaki kiedykolwiek spotkałem. Zdążyłem zjeść tylko jeden. Tego dnia odjeżdżał brat mojej matki, który przyjechał do nas w odwiedziny. Matka dała mu moje cukierki na drogę. Nigdy już nie odnalazłem takich samych. Być może, były to zupełnie zwyczajne cukierki, które od tego czasu miałem nieraz w ustach.

Chętnie poszedłbym do Aliny i poznał jej męża.

– Widziano cię u „Warszawianek” z jakimś wspaniałym kociakiem – powiedziała Agnieszka w parę dni potem.

– A to taka jedna. Koleżanka ze szkoły. Kochała się w Arturze Wdowińskim.

Agnieszka roześmiała się.

– Daj spokój. Nie interesuje mnie jej życiorys. Stwarzasz sytuację, jakbym robiła ci scenę.

– Ja stwarzam taką sytuację?

– No, a kto?

Nie poszedłem do Aliny i jej męża.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI